

Tytuł oryginału: *A Spy in the House of Love*

Copyright © 1954, 1959, 1974 by Anais Nin  
Copyright renewed © 1982 by the Anais Nin Trust  
(Rupert Pole Trustee). All rights reserved  
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Literackie,  
Kraków 2002

Tekst na podstawie: A. Nin, *Szpieg w domu miłości*,  
przeł. A. Eschen-Tempska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981

Projekt okładki i stron tytułowych:  
Elżbieta Totoń – Design Plus

Na okładce wykorzystano zdjęcie Georga Tuskanya  
– Agencja Tony Stone Images / Flash Press Media

Redaktor prowadzący:  
Anita Kasperk

Redaktor techniczny:  
Bożena Korbut

Książki Wydawnictwa Literackiego  
oraz bezpłatny katalog można zamawiać:

31-147 Kraków, ul. Długa 1  
bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40  
<http://www.wl.net.pl>  
księgarnia internetowa: [www.wl.net.pl](http://www.wl.net.pl)  
e-mail: [księgarnia@wl.net.pl](mailto:księgarnia@wl.net.pl)  
tel/fax: (+48 12) 422 46 44

ISBN 83-08-03190-0

Inspektor spał, kiedy usłyszał dzwonek telefonu.

Zdawało mu się najpierw, że to budzik każe mu wstać, ale po chwili, zupełnie obudzony, przypomniał sobie, jaki ma zawód.

Głos, który usłyszał, był chropawy, jakby zmieniony. Nie potrafił rozróżnić, co jest tego przyczyną: alkohol, narkotyki, niepokój czy strach.

Był to głos kobiety, ale mógł to być też chłopak udający kobietę albo kobieta udająca chłopca.

– O co chodzi? – spytał. – Halo, halo, halo.

– Musiałam z kimś porozmawiać, nie mogę spać. Musiałam do kogoś zadzwonić.

– Chce pani coś wyznać...

– Wyznać? – powtórzył z niedowierzaniem głos; tym razem wysokie tony nieomyślnie wskazywały na kobietę.

– Nie wie pani, kim jestem?

– Nie, wykręciłam numer na chybił trafił. Nieraz już tak robiłam. Dobrze jest wśród nocy usłyszeć czyjś głos, to wszystko.

– Ale dlaczego obcy? Mogła pani zadzwonić do kogoś z przyjaciół.

– Obcy nie zadają pytań.

– Mój zawód polega właśnie na zadawaniu pytań.

– Kim pan jest?

– Badam prawdziwość zeznań.

Po tych słowach nastąpiła długa cisza. Inspektor sądził, że kobieta odłożyła słuchawkę, ale usłyszał jej kaszel.

– Jest tam pani?

— Tak.

— Myślałem, że pani odłożyła słuchawkę.

Teraz słyszeć było śmiech, swobodny, srebrzysty, wibrujący śmiech.

— Przecież nie uprawia pan zawodu przez telefon!

— To prawda. Mimo to nie zadzwoniłaby pani do mnie, gdyby pani była niewinna. Wina to jedyne brzemie, którego człowiek nie potrafi dźwigać samotnie. Skoro tylko popełnione zostaje przestępstwo, natychmiast dzwoni gdzieś telefon albo ktoś zwierza się komuś nieznanemu.

— Nie było żadnego przestępstwa.

— Ulgę może przynieść tylko jedno: przyznać się, dać się schwytać, pójść pod sąd, ponieść karę. To szczyt marzeń każdego przestępcy. Ale nie takie to znów proste. Tylko połowa naszej istoty chce odpokutować, chce się pozbyć udręki wyrzutów sumienia. Druga połowa chce nadal być wolna. Więc tylko połowa poddaje się, wołając: „Chwytajcie mnie”, gdy druga stwarza przeszkody, trudności, szuka ratunku w ucieczce. Jest to igranie ze sprawiedliwością. Jeśli sprawiedliwość okaże się zwinna, z pomocą przestępcy pójdzie jego tropem. Jeśli nie, przestępca będzie musiał sam zatroszczyć się o pokutę.

— Czy to jest gorsze?

— Myślę, że tak. Myślę, że jesteśmy surowszymi sędziami własnych czynów niż sędziowie zawodowi. Sądzimy nasze myśli, zamiary, skryte bluźnierstwa, skrytą nienawiść, nie tylko czyny.

Odłożyła słuchawkę.

Inspektor połączył się z centralą i polecił, żeby zbadano, skąd był telefon. Okazało się, że z baru. Pół godziny później już tam siedział.

Starł się nie wodzić oczami wokół ani nie przypatrywać, zamienił się cały w słuch, aby rozpoznać tamten głos.

Kiedy zamówiła coś do picia, podniósł wzrok znad gazety.

Ubrana w czerwień i srebro budziła mu w pamięci odgłosy i obrazy pędzącej ulicami Nowego Jorku straży ogniowej, wypełniającej serce biciem na alarm; cała ubrana w czerwień i srebro, czerwień i srebro przyszywające ciało na wylot. Kiedy pierwszy raz spojrzał na nią, poczuł: Wszystko spłonie!

Poprzez czerwień i srebro i długie wołanie na alarm skierowane do poety, który tkwi w każdej istocie ludzkiej, podobnie jak pozostaje w nim coś z dziecka — temu właśnie poecie rzuciła nagle w samym sercu miasta drabinę i nakazała: „Wchodź!”

Gdy się ukazała, regularne szeregi domów rozstąpiły się, aby zrobić miejsce dla nieskończonej długiej, pionowej drabiny, po której kazała mu się wspinać, a która niczym u barona Münchhausena prowadziła wprost do nieba.

Tylko że jej drabina prowadziła w płomienie.

Spojrzał na nią znowu z zawodowym sceptycyzmem.

Nie potrafiła usiedzieć spokojnie. Gorączkowe słowa bez przerwy cisnęły się jej na usta, do utraty tchu, jak komuś, kto boi się ciszy.

Siedziała tak, jakby nie mogła usiedzieć przez dłuższą chwilę, a kiedy wstała, żeby kupić papierosy, równie gorąco pragnęła już być z powrotem na swoim miejscu. Niecierpliwa, czujna, ostrożna, jakby lękała się napaści, niespokojna i ożywiona, piła pośpiesznie, uśmiechała się tak przelotnie, że nie mógł być wcale pewien, czy to rzeczywiście uśmiech. Docierała do niej tylko część tego, co do niej mówiono, a nawet wtedy, kiedy ktoś od baru przechylił się ku niej i zawołał ją po imieniu, nie odpowiadała od razu, jakby to nie było jej prawdziwe imię.



— Sabino — zawołał mężczyzna siedzący przy barze, przechylając się ryzykownie w jej kierunku. Nie puszczał jednak oparcia stołka, bojąc się upaść.

Ktoś bliżej powtórzył uprzejmie jej imię, aż w końcu zrozumiała, że to o nią chodzi. W tej chwili inspektor otrząsnął się z opalizującego odrętwienia, jakie wywołała w nim noc, ten głos, narkotyk snu, jej obecność, i zdecydował, że w zachowaniu tej kobiety można odnaleźć wszelkie symptomy winy: to, jak patrzy na drzwi baru, jakby wypatrując sposobnego momentu ucieczki, jej bezładne, urywane zdania, raptowne, przypadkowe ruchy, nie mające związku ze słowami, nagle chwile po-nurego milczenia.

Ponieważ znajomi podchodzili, siadali przy jej stoliku, potem przechodzili znów do innych, musiała podnosić głos, w zasadzie cichy, żeby słyszeć ją było mimo dźwięków zmysłowego bluesa.

Mówiła o przyjęciu, na którym zdarzyło się coś nie-jasnego, z mglistych scen inspektor nie umiał wyłowić bohaterki czy ofiary. Mówiła niby w rwącym się śnie, z przerwami, nawrotami, poprawkami, z natłokiem fantastycznych obrazów. Teraz była w łaźni w Maroku, pożyczła pumeks od miejscowych kobiet i uczyła się od prostytutek malować oczy proszkiem antymonowym kupionym na targu.

— Jest to czarny pył, który trzeba wsypywać prosto do oczu. Z początku piecze i leca łzy, ale w ten sposób rozprawia się to po powiekach i właśnie tak powstaje ta błyszcząca, czarna jak węgiel obwódka wokół oczu.

— I nie dostałaś zapalenia spojówek? — zapytał ktoś z prawej strony, kogo inspektor nie widział wyraźnie, nieokreślona osoba, którą zbyła odpowiedzią:

— O nie, prostytutki mają proszek poświęcony w meczecie.

A potem, kiedy wszyscy roześmieli się z tego, czego nie uważała wcale za dowcip, roześmiała się też i zdawało się, że wszystko, co powiedziała, było wypisane na wielkiej tablicy, a ona wzięła gąbkę i starła to kilkoma słowami, które podważały wiarygodność zdarzenia w łaźni, albo może była to historia, o której czytała lub słyszała w barze, a gdy już wymazała ją z pamięci słuchaczy, zaczynała następną...

Opisywane przez nią twarze, postacie były zarysowane tylko połowicznie; ledwo zaś inspektor zaczynał je rozróżniać, zjawiały się nowe jak we śnie. Kiedy sądził, że mowa o kobiecie, okazywało się, że nie była to kobieta, ale mężczyzna, a gdy zaczynał się tworzyć wizerunek mężczyzny, okazywało się, że inspektor źle usłyszał, chodziło o młodego mężczyznę przypominającego kobietę, która niegdyś zaopiekowała się Sabiną; a ten młody mężczyzna w jednej chwili przeobrażał się w grupę ludzi, którzy pewnego wieczora ją poniżali.

Nie mógł uporządkować w myśli osób, które kochała, których nienawidziła, od których uciekała, podobnie jak nie mógł nadażyć za zmianami w jej wyglądzie, gdy mówiła o sobie — „miałam wtedy jasne włosy”, „byłam wtedy zamężna” — ani zorientować się, kto był zapomniany albo zdradzony, a kiedy nie pozostało mu nic innego, jak uchwycić się pewnych powtórzeń, nie tworzyły one żadnej konstrukcji, lecz całkowicie sobie przeczyły. Najbardziej uporczywie powtarzało się słowo „aktorka”; jednakże po wielogodzinnym dociekaniu inspektor nie potrafiłby powiedzieć, czy jest aktorką, czy chce nią być, czy tylko ją udaje.

Gonączka zwierzeń zmuszała ją do uchylania rąbka zasłony, lecz od razu przeradzała się w strach, gdy ktoś słuchał zbyt uważnie. Raz po raz brała wielką gąbkę i przez zupełne zaprzeczenie ścierała wszystko, co po-

wiedziała dotąd, jakby ta gmatwanina była sama w sobie płaszczem ochronnym.

Najpierw gestem zapraszała i wabiła kogoś w swój świat, aby po chwili zasłonić przejścia; tasowała obrazy, znów się wymykając.

Świt, którego pierwsze oznaki zabłysły w drzwiach, uciszył ją. Szczelniej otuliła ramiona peleryną, jakby rozpoznała w nim ostateczne niebezpieczeństwo, jakby świt był największym wrogiem. Nie odezwała się do tego wroga ani słowem. Przez chwilę wpatrywała się gniewnie w światło, potem wyszła z baru.

Inspektor podążył za nią.

Zanim się obudziła, ciemne oczy Sabiny wysyłały poprzez ledwo uchylone powieki twarde światło drogich kamieni, czysty ciemnozielony blask berylu, jeszcze nie rozgrzany jej gorączką.

Potem zbudziła się w jednej chwili, czujna.

Nie było to budzenie się stopniowe, ufnie wprowadzające w nowy dzień. Skoro tylko światło czy dźwięk docierały do jej świadomości, zewsząd groziło niebezpieczeństwo i zrywała się, gotowa odpierać ciosy.

W pierwszej chwili jej twarz wyrażała napięcie, nie było w niej piękna. Niepokój, który odbierał siły ciała, nadawał też twarzy charakter nieokreślony, pełen wahania, pozbawiony piękna jak nieostra fotografia.

Pomału nastawiała ostrość nowego dnia, jednoczyła psychikę z ciałem. Był to wysiłek, tak jakby procesy rozpadu i zaniku, które się dokonały w jej osobowości tej nocy, były trudne do odwrócenia. Przypominała aktorkę, która musi komponować swoją twarz, pozę, zanim rozpocznie dzień.

Czarny ołówek nie służył zwyktemu podkreślanu jasnych brwi, ale rysował linie niezbędne do złagodzenia chaotycznej asymetrii. Szminka i puder nie były nakładane tylko po to, żeby wygładzić porcelanową cerę i obrzmienia pozostawione przez sen, ale po to, aby wyrównać ostre bruzdy wyżłobione przez nocne znozy, aby przywrócić kształt policzkom, zatrzeć wewnętrzne konflikty i zmagania, psujące przejrzystość rysów twarzy, doskonałość jej form.



Musiła przemalować twarz, złagodzić niepokój brwi, rozdzielić pozalepiane rzęsy, zmyć ślady tajonych łez, niczym na płótnie zaakcentować usta, aby zdołały utrzymać olśniewający uśmiech.

Chaos wewnętrzny, jak podziemne wulkany raptownie niszczące równe bruzdy troskliwie zaoranych pól, czaił się pod każdym zaniedbaniem twarzy, włosów i stroju, szukał tylko rysy, przez którą mógłby wybuchnąć na zewnątrz.

To, co widziała teraz w lustrze, było zaróżowioną twarzą o jasnych oczach, uśmiechniętą, gładką, piękną. Wynik złożonych zabiegów opanowania i sztuki rozproszył tylko jej niepokój; teraz, gdy czuła się gotowa na spotkanie dnia, wyłoniła się jej uroda, zatarta dotąd i trawiona przez niepokój.

Zastanawiała się nad strojem, tak samo wążąc możliwość niebezpieczeństw zewnętrznych jak wówczas, gdy nowy dzień wtargnął przez zamknięte okna i drzwi.

Biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo, grożące zarówno ze strony przedmiotów, jak i ze strony ludzi, która suknia, które buty, który płaszcz będą stawiały mniejsze wymagania jej przerażonemu sercu i ciału? Bo kostium to też wyzwanie, pułapka, rola, która, raz przyjęta, może zawładnąć aktorem.

W końcu wybrała suknię z dziurą w rękawie. Kiedy ją ostatni raz miała na sobie, zatrzymała się przed restauracją zbyt luksusową, zbyt okazałą, toteż bała się do niej wejść, ale zamiast: „Boję się tu wejść” – mogła powiedzieć: „Nie mogę tu wejść z rozdartym rękawem”.

Wybrała pelerynę, która otulała najszczelniej i wydawała się najlepszą osłoną.

W fałdach peleryny kryły się też cechy posiadane, jak sobie wyobrażała, wyłącznie przez mężczyzn – rozmach, zuchwalstwo, jakaś wyzywająca, niedostępna dla kobiet swoboda.

Prowokującą muletą torreadora, powiewającym proporcem średniowiecznego jeźdźcy, rozwiniętym żaglem w zderzeniu z wiatrem, przyłbicą rycerza podczas bitwy – wszystkim tym stawiała się dla niej peleryna, kiedy zarzucała ją na ramiona.

Peleryna rozpostarta na ziemi była łóżem nomadów, rozwinięta – sztandarem przygody.

Sabina miała teraz na sobie strój najodpowiedniejszy do wypraw, bitew, turniejów.

Kurtyna bezbronności nocnej szła w górę, odsłaniając osobę przygotowaną na wszystko.

Przygotowana – mówiło lustro, przygotowana – mówiły buty, przygotowana – mówiła peleryna.

Stała, oglądając swoją postać, gotowa na niebezpieczne i groźne spotkanie z dniem.

Nie zdziwiła się, kiedy wyjrzała przez okno i zobaczyła mężczyznę, który wyszedł za nią z baru. Stał na rogu i udawał, że czyta gazetę.

Nie doznała zaskoczenia, gdyż była to jedynie materializacja uczucia, które знаła od lat – uczucia, że czyjeś oko obserwuje ją i towarzyszy jej zawsze i wszędzie.

Szła Osiemnastą ulicą w stronę rzeki. Trochę nierytmicznie, dużymi krokami, zdyszana i pochylona do przodu, jakby się z kimś ścigała.

Po lewej stronie ulicy stały jeden przy drugim garaże wozów ciężarowych. O tej porze rozsuwano ciężkie żelazne bramy i ogromne ciężarówki wytaczały się na ze-

wnętrz, przesłaniając słońce. Koła ich były wyższe od Sabiny.

Tworzyły szereg tak zwarty, że nie było już widać domów po drugiej stronie. Utworzyły mur warczących silników i zaczynających się obracać wielkich kół na prawo od Sabiny. Z lewej strony otwierało się coraz więcej bram i coraz więcej ciężarówek zbliżało się powoli, jakby miały Sabinę pochłonać. Wynurzały się groźne, niehumanitarne, takie wysokie, że nie mogła dojrzeć kierowców.

Sabina poczuła, że ciało jej się kurczy, a w miarę jak się kurczyło, ciężarówki urastały do monstrualnych rozmiarów, przerażające koła obracały się coraz prędzej. Czuli się jak dziecko w niesamowitej krainie olbrzymów. Czuli, jak delikatne są kości jej stóp w sandałkach. Czuli się krucha i łamliwa. Czuli, że przytłacza ją niebezpieczeństwo, zmechanizowane zło.

Poczucie własnej kruchości było tak silne, że przstraszyło ją nagle pojawienie się po lewej stronie kobiety idącej za nią krok w krok. Sabina zerknęła spod oka i uspokoił ją wysoki wzrost tamtej i pewny siebie chód. Kobieta też była ubrana na czarno, ale nie widać po niej było lęku.

Nagle kobieta znikła. Lustro skończyło się. Sabina widziała przed chwilą samą siebie, naturalnej wielkości wizerunek idący obok skurczonego, wewnętrznego „ja” – jeszcze jeden dowód na to, jak wielka była dysproporcja między jej odczuciami a rzeczywistością.

Jak nieraz przedtem, Sabina doświadczyła uczucia własnej małości i ogromu zagrożenia, ale w lustrze ujrzała wysoką, silną, dojrzałą, trzydziestoletnią kobietę, zdolną radzić sobie w każdych warunkach. W lustrze odbijał się ten obraz, który stworzyła i prezentowała światu, a jej utajone wewnętrzne „ja” kuliło się ze strachu na widok wielkiego koła ciężarowego wozu.

Zawsze w takich właśnie chwilach załamania ukazywał się jej obraz męża, Alana. Aby go przywołać, konieczny był nastrój pewnej słabości, pewnego zachwiania równowagi wewnętrznej, pewnego nasilenia lęków. Ukazywał się jako punkt stały w przestrzeni. Spokojna twarz. Spokojna postawa. Wysoki wzrost, który wyróżniał go w tłumie i odpowiadał jej wyobrażeniu o jego niepowtarzalności. Obraz Alana stawał jej przed oczami niby zdjęcie migawkowe. Omijał wszystkie zmysły prócz wzroku. Nie pamiętała jego dotyku czy głosu. Był dla niej statyczną fotografią – w charakterystycznej pozie z lekko pochyloną głową, do czego zmuszał go wzrost, a jednocześnie z właściwym mu spokojem, który nadawał temu gestowi cechy błogosławieństwa. Nie potrafiła wyobrazić go sobie w chwili, gdy był rozbawiony, uśmiechnięty czy bez troski. Nigdy nie odzywał się pierwszy, nie narzucał swojego nastroju, swego zdania, czekał niby spowiednik, chcąc usłyszeć najpierw słowa i wyczuć nastrój innych. Cechowała go refleksyjna bierność słuchacza. Nie sądziła, żeby mógł czegoś bardzo chcieć (chyba że chodziłoby o jej powrót do domu) albo żądał czegoś dla siebie. Dwie migawki, które przechowywała w pamięci, a w których ukazywał dwie różne strony charakteru, nie tworzyły kontrastu – na jednej był wyczekującym, mądrym, bezstronnym słuchaczem, na drugiej – zadumanym obserwatorem.

Jeśli jakieś zdarzenie (w tym wypadku zwykłe przejście Osiemnastą ulicą) wywoływało w Sabinie paniczny lęk, ukazywały się te dwa wizerunki Alana i ogarniała ją tęsknota za domem.

Wróciła do pokoju, w którym się rano obudziła. Wyciągnęła spod łóżka walizkę i zaczęła pakować rzeczy.

Kiedy przechodziła obok recepcji, mężczyzna prowadzący rachunki uśmiechnął się do niej uśmiechem, któ-



ry, jak się jej zdawało, wyrażał pytanie, wątpliwość. Recepcjonista spojrział na jej walizkę. Sabina podeszła do niego i spytała niepewnie:

— Czy... mój mąż nie zapłacił rachunku?

— Pani mąż zatroszczył się o wszystko — odpowiedział mężczyzna.

Sabina poczerwieniała z gniewu. Już chciała powiedzieć: „Więc czemu się na mnie gapicie? I skąd ta ironia w waszych twarzach?” I czemu ona sama zawahała się przy słowie „mąż”?

Szyderstwo, które wyczuła w zachowaniu personelu hotelowego, spotęgowało jeszcze przykry nastrój ociężałości i znużenia. Walizka zdawała się coraz cięższa. W tym poczuciu zagubienia każdy przedmiot stawał się niezwykle ciężki, każde miejsce przygnębiające, każde zadanie ponad siły. Przede wszystkim świat wydawał się pełen potępiających spojrzeń. Uśmiech kasjera był ironiczny, a dociekliwość recepcjonisty nieprzyjazna.

Przystań znajdowała się tylko o dwie przecznice dalej, jednak odległość wydawała się ogromna, trudności nie do pokonania. Zatrzymała taksówkę i powiedziała:

— Piąta Aleja pięćdziesiąt pięć.

— Proszę pani, to tylko dwie przecznice dalej. Ma pani chyba dość sił! — odrzekł impertynencko kierowca i pojechał dalej.

Ruszyła wolnym krokiem. Dom, do którego dotarła, był okazały, ale jak wiele domów w tej okolicy, bez windy. Nie było nikogo, kto by jej wniósł walizkę. Dwa piętra, które musiała pokonać, wydawały się jej nie kończącymi się schodami ze złego snu. Czuła, że pozbawia ją reszty sił.

*Ale nic mi nie grozi. Będzie spał. Ucieszy się, że przyszłam. Będzie w domu. Otworzy ramiona. Przygarnie mnie. Już nie będę musiała walczyć.*

Zanim jeszcze weszła na górę, zobaczyła cienką smugę światła pod drzwiami i poczuła, jak radość i ciepło przenika całe jej ciało. Jest. Nie śpi.

Jak gdyby wszystko inne, czego doświadczyła, było dopustem bożym, a to tutaj schronieniem, domem szczęścia.

*Nie rozumiem, co każe mi stąd odchodzić, tu jest szczęście.*

Kiedy drzwi się otwierały, odsłaniały zawsze ten sam, niezmienny pokój. Meble nigdy nie stały w nieładzie, światło zawsze było rozproszone i łagodne jak w sanktuarium.

Alan stał w drzwiach i najpierw zobaczyła jego uśmiech. Miał mocne, bardzo równe zęby w szczupłej, podłużnej twarzy. Zmrużone w uśmiechu oczy promieniowały miękkim, płowym światłem. Stał, sztywno wyprostowany, w postawie niemal wojskowej, a ponieważ był bardzo wysoki, jego głowa jakby pod własnym ciężarem pochylała się w dół, żeby mógł patrzeć na Sabinę.

Zawsze witał ją z wielką czułością, jak gdyby z góry zakładał, że muszą ją dręczyć jakieś zmartwienia.

Odruchowo spieszył, żeby ją pocieszać i ochraniać. Sposób, w jaki wyciągał ramiona, i ton, jakim ją witał, mówiły: „Przede wszystkim pocieszę cię i ukoję, przede wszystkim pomogę ci się pozbierać, zawsze jesteś taka rozbita, kiedy wracasz”.

Dziwne, przeciągające się, niemal bolesne napięcie, które odczuwała z dala od niego, rozprasało się w jego obecności, już przy jego drzwiach.

Wziął od niej walizkę, poruszając się ostrożnie, i postawił troskliwie w schowku. Jego ruchy cechowała celowość, poczucie doskonałej równowagi. Jego emocje i myśli obracały się wokół stałej osi niczym niezmienny układ planetarny.

Ufność, jaką budził w niej jego spokojny głos, ciepły i jasny, delikatne zachowanie, nigdy gwałtowne czy brutalne, wyważone wypowiedzi, nienatrętna wnikiwość – ufność ta była tak wielka, że aż bliska całkowitego podporządkowania się, całkowitego oddania.

Ufnie popłynęła ku niemu, wdzięczna i ciepła.

Był inny od wszystkich mężczyzn, odmienny, jedyny. Zajmował jedyne stałe miejsce we fluktuacjach jej uczuć.

– Zmęczona, moja maleńka? – spytał. – Miałas ciężką podróż? Udało się?

Był tylko o pięć lat starszy od niej. Miał trzydzieści pięć lat i siwiały mu skronie, a mówił o niej, jakby był jej ojcem. Czy zawsze mówił do niej takim tonem? Spróbowała przypomnieć sobie Alana, kiedy był bardzo młody, kiedy ona miała dwadzieścia lat, a on dwadzieścia pięć. Ale nie potrafiła go sobie wyobrazić innego niż teraz. Kiedy miał dwadzieścia pięć lat, tak samo stał, tak samo się odzywał, tak samo mówił: „moja maleńka”.

Przez chwilę pieszczotliwy głos, aprobata i miłość, jaką okazywał, kusily ją, aby powiedzieć: „Alanie, nie jestem aktorką, nigdzie nie grałam, nie wyjeżdżałam nawet z Nowego Jorku. Wszystko zmyśliłam. Byłam w hotelu z...”

Wstrzymała oddech. Robiła tak zawsze, wstrzymywała oddech, żeby prawda nie wyszła nigdy na jaw, ani tu przy Alanie, ani w pokoju hotelowym przy kochanku, który wypytywał o Alana. Wstrzymała oddech, żeby zdusić prawdę, zdobyła się na jeszcze jeden wysilek, żeby być aktorką, którą nie była, żeby zagrać rolę, której nie grała, żeby opisać podróż, której nigdy nie przedsięwzięła, żeby zrekonstruować kobietę, której nie było w domu przez osiem dni, żeby uśmiech nie znikł Alanowi z twarzy, żeby jego ufność i szczęście nie legły w gruzach.



W tej krótkiej chwili wstrzymania oddechu potrafiła dokonać przemiany. Przed Alanem stała teraz aktorka, odtwarzająca na nowo ostatnie osiem dni.

— Podróż była męcząca, ale sztuka miała powodzenie. Jak wiesz, z początku okropnie mi się ta rola nie podobała. Ale zaczęłam współczuć pani Bovary i drugiego wieczora grałam już dobrze, uchwyciłam nawet szczególny rodzaj jej tonu i gestów. Przeistoczyłam się zupełnie. Wiesz, jak z napięcia głos staje się wysoki i cienki, a zdenerwowanie wzmacnia gestykulację.

— Ależ z ciebie aktorka — powiedział Alan. — Ty jeszcze ciągle grasz. Tak mocno zrosłaś się z rolą, że nie możesz się z niej wyzwolić. Rzeczywiście gestykulujesz gwałtowniej niż zwykle i zmienił ci się głos. Czemu wciąż zasłaniasz dłonią usta? Jakbyś chciała zatrzymać coś, co mogłoby ci się wymknąć.

— Tak. To jej gest. Muszę przestać. Jestem taka zmęczona, taka zmęczona, nie mogę przestać... Nie mogę przestać być nią.

— Chcę mieć z powrotem moją Sabinę.

Ponieważ Alan powiedział, że to rola, którą gra, ponieważ powiedział, że to nie jest prawdziwa Sabina, którą kocha, Sabina poczuła, że kobieta, której nie było przez osiem dni, która przez te osiem dni mieszkała w małym hoteliku z kochankiem, którą nietrwałość i dziwność tamtego związku wprawiała w coraz większy niepokój, wyrażający się w nadmiarze ruchów, niepotrzebnych i żywiołowych niczym podmuchy wiatru lub falowanie wody, jest naprawdę kimś innym, rolą, którą grała w objeździe. Walizka, nietrwałość, przelotny charakter tych ośmiu dni zyskiwały w ten sposób usprawiedliwienie. To, co się stało, nie ma nic wspólnego z samą Sabina, tylko z jej zawodem. Wróciła do domu nietknięta, gotowa odpowiedzieć lojalnością na jego lojalność, zaufaniem na zaufanie, wiernością na wierność.

— Chcę mieć z powrotem moją Sabinę, nie tamtą kobietę z tym dziwnym gestem zasłaniania twarzy i ust ręką, jakby chciała zatrzymać coś, czego nie chce lub nie powinna powiedzieć.

Pytał o inne rzeczy. I teraz, kiedy przechodziła do opisu roli, którą grała, do opisu miasta, hotelu i innych osób z zespołu, czuła ten ukryty, bolesny ucisk w sercu, niedostrzegalny rumieniec wstydu, niedostrzegalny dla innych, lecz palący ją ogniem.

To ten wstyd ogarniał ją nagle, przenikał jej gesty, przesłaniał urodę chmurą, mącił przejrzystość oczu. Odczuwała to jak utratę piękna, odarcie z godności.

Każdemu zmyśleniu, każdemu kłamstwu wobec Alana stale towarzyszył nie wstyd świadomy, ale jego namiastka: od pierwszych słów czuła, jak płowieje na niej suknia, jak matowieją jej oczy, czuła, że staje się nieciekawa, niepociągająca, nie dość piękna, niewarta miłości.

*Czemu mnie kocha? Czy będzie kochał mnie nadal? Jego miłość nie jest dla takiej kobiety jak ja. Nie jestem dość ładna, nie jestem dość dobra, nie jestem dobra dla niego, nie powinien mnie kochać, nie zasługuję na to, wstyd mi, wstyd, wstyd, że nie jestem dość piękna, są inne dużo piękniejsze, o promiennych twarzach i szczerych oczach. Alan mówi, że mam piękne oczy, ale ja nie mogę ich zobaczyć, dla mnie są oczami kłamczyni, moje usta kłamią, przed kilkoma godzinami całował je inny... Całuje usta całowane przez innego... Całuje oczy, które wielbiły innego... wstyd... wstyd... wstyd... kłamstwa... kłamstwa... Ubrania, które on wiesza tak starannie, pieścił i gniótł kto inny, tamten był tak niecierpliwy, że szarpał i gniótł na mnie suknię. Nie zdążyłam się rozebrać. To ta, którą wiesza z taką miłością... Czy mogę zapomnieć o wczorajszym dniu, o tamtym opętaniu, szale, czy mogę wrócić do domu i w nim zo-*

stać? Czasem bardzo mi trudno znieść te szybkie zmiany dekoracji, szybkie przeobrażenia, nie mogę przechodzić gładko z jednego związku w drugi. Rozpadam się, rozpraszam w różne strony. Tracę bardzo ważne części swojej istoty, coś ze mnie pozostaje w pokoju hotelowym, coś ze mnie odchodzi z tej przystani, coś ze mnie podąża za tamtym, który idzie ulicą sam albo nie sam – ktoś może zająć moje miejsce przy nim, kiedy jestem tutaj, to będzie dla mnie kara, i ktoś zajmie moje miejsce tu, kiedy stąd odejdę. Czuję się winna, że opuszczam każdego z nich, czuję się odpowiedzialna za ich samotność, i czuję się podwójnie winna wobec nich obu. Gdziekolwiek się znajduję, jestem rozdarta na części, których nie śmiem połączyć, podobnie jak nie śmiałabym dopuścić do spotkania obu tych mężczyzn. Teraz jestem tutaj, gdzie nie spotka mnie nic złego, przynajmniej przez kilka dni nie zrani mnie żadne słowo ani gest... Ale nie cała tu jestem, tylko połowa mojej istoty szuka tu schronienia. Tak, Sabino, zawiodłaś jako aktorka. Zniechęciła cię dyscyplina, karność, monotonia, próby, konieczność ustawicznych wysiłków, za to teraz grasz rolę, którą trzeba zmieniać z dnia na dzień, żeby jednej istocie ludzkiej oszczędzić cierpienia. Umyj swoje kłamliwe oczy i kłamliwą twarz, włóż odzież, która pozostawała w domu, a która należy do niego, uświęcona jego dłońmi, graj rolę kobiety wewnętrznie spójnej, w końcu zawsze chciałaś być taka, to niezupetne kłamstwo...

Alan nigdy nie rozumiał, dlaczego Sabina od razu chce się wykapać, przebrać, zmyć makijaż.

Ból wewnętrznego rozbicia i rozdarcia ucichał, wstyd się rozptywał, kiedy Sabina wkraczała w sferę pogodnego nastroju Alana.

W tej chwili Sabina czuje, że jakaś zewnętrzna siła zmusza ją, aby stała się kobietą, której Alan pragnie i po-

żąda, którą tworzy. Cokolwiek o niej mówi, ona to wypełni. Sabina nie czuje już odpowiedzialności za to, czym była. W jej twarzy i postaci, w zachowaniu i głosie następuje zmiana. Sabina przeistoczyła się w kobietę, którą kocha Alan.

Uczucia, które przez nią przepływają, które ją unoszą, to miłość, troskliwość, oddanie. Uczucia te tworzą silny nurt, który ją unosi. Intensywność ich sprawia, że pochłaniają wszystkie jej wahania, podobnie jak w przypadku fanatycznego poświęcenia dla kraju, nauki lub sztuki cel bezspornie rozgrzesza z wielu win pomniejszych.

Żrenice Sabiny zaślnęły niczym małe brylanty, odbijając myśli skupione wokół jej najbliższych intencji. Zazwyczaj żrenice te były rozszerzone, jak gdyby nie dostrzegały rzeczywistości, ale teraz z ostrością szlifowanego diamentu odbijały splot mozolnych życiowych kłamstw, dzięki czemu oczy nabrały czystości bardziej nawet przejrzystej, niż może dać prawda.

Sabina chce być taką kobietą, jaką chce w niej widzieć Alan.

Czasem Alan nie jest pewien, czego pragnie. Wtedy niespokojna, wzburzona Sabina w niewiarygodnym bezruchu, czujna, napięta, czeka na każdy znak jego pragnień i marzeń.

Nowe „ja”, które ofiarowuje Alanowi, które dla niego stworzyła, pojawia się zupełnie nieskazitelne, świeższe niż jakakolwiek młoda dziewczyna, bo stanowi ono jakby czystą abstrakcję kobiety, wyidealizowaną postać, zrodzoną nie z tego, czym Sabina jest, ale z pragnień Sabiny i Alana. Zmienia nawet dla niego swój rytm, opanowuje gwałtowne, niespokojne ruchy, upodobanie do dużych przedmiotów, dużych pokoi, do życia bez czasu, do kaprysów i nagłych postępów. Nawet jej



ręce, z natury stanowcze, przez wzgląd na niego dotykają łagodniej otaczających ją przedmiotów.

— Zawsze chciałaś być aktorką, Sabino. Cieszę się, że twoje pragnienie się spełnia. Wynagradza mi to częste rozstania.

Żeby sprawić mu przyjemność, zaczęła odtwarzać zdarzenia ostatniego tygodnia — podróż do Provincetown, zachowanie zespołu, sprawy związane z błędami reżyserii, reakcje publiczności, wieczór, kiedy przepaliły się bezpieczniki, wieczór, kiedy popsuł się system nagłaśniający.

Jednocześnie pragnęła powiedzieć Alanowi, co działo się naprawdę, pragnęła oprzeć głowę na jego ramieniu, jak na zapewniającej bezpieczeństwo ostoji, zapewniającym bezpieczeństwo zrozumieniu, które nie ma nic wspólnego z posiadaniem jej, ale wiąże się z kompletną o niej wiedzą. Pragnęła, aby Alan mógł sądzić jej czyny tak samo bezstronnie i mądrze, jak sądził czyny innych, pragnęła, aby mógł ją rozgrzeszyć, jak rozgrzeszał obcych, znając motywy ich postępowania.

Przed wszystkim pragnęła jego rozgrzeszenia, żeby móc spać. Wiedziała, co czeka ją zamiast snu — niespokojne nocne czuwanie. Bo kiedy już dla spokoju Alana odtworzyła zdarzenia ostatniego tygodnia, kiedy pocałował ją z wdzięcznością i głodem nagromadzonym podczas jej nieobecności, Alan zapadł ufnie w głęboki sen, całkowicie poddając się nocy, która zwróciła Sabinę, podczas gdy ona leżała, nie śpiąc, zastanawiając się, czy wśród jej zmyśleń nie ma czegoś, co mogłoby ją później zdradzić, zastanawiając się, czy można dowieść, że jej opis hotelu w Provincetown jest fałszywy, że miejsce to zna tylko ze słyszenia. Zastanawiając się, czy spał, co o hotelu mówiła i co mówiła o innych członkach zespołu. Zastanawiając się, czy Alan może kiedyś

spotkać któregoś z tamtych aktorów i odkryć, że Sabina w ogóle nigdy z nimi nie pracowała.

Noc nadeszła tylko niby ciemna scena, na której zmyślone sytuacje nabierały większej ostrości niż za dnia. Sceny, które otaczała ciemność, były jakby ze snu, wyolbrzymione, mocniej zarysowane, nasuwające stale myśl o otchłani ziejącej wokół światła.

Ten pokój, to łóżko otaczała czarna przepaść. Umknęła niebezpieczeństwom jeszcze o jeden dzień, to wszystko. Nowe niebezpieczeństwa czekały Sabinę nazajutrz.

Nocą Sabina dociekała też tajemnicy swojej rozpaczliwej potrzeby dobroci. Tak jak inne kobiety modliły się o to, żeby kochanek ich był przystojny, bogaty, romantyczny lub miał władzę, ona modliła się żarliwie — niech będzie dobry.

Dlaczego tak bardzo potrzeba jej dobroci? Czy jest ulomna? A gdyby zamiast Alana poślubiła mężczyznę brutalnego, okrutnego?

Samo słowo „okrucieństwo” przyprawiło ją o bicie serca. Groza niebezpieczeństw, których uniknęła, była tak wielka, że nawet nie śmiała ich sobie wyobrazić. Pragnęła dobroci i uzyskała ją. I właśnie teraz, kiedy ją znalazła, narażała się na jej utratę co dzień, co godzina, szukając wciąż nowych przygód!

Alan spał spokojnie, nawet we śnie jego ruchy były spokojne. Wyraźny zarys nosa, ust, brody, kanciaste linie ciała, wyrzeźbionego w całości z jakiegoś szlachetnego kruszcu, który nie zwietrzeje. Nawet w chwilach pożądania nie miał nieprzytomnych oczu, zwichrzonych włosów jak inni mężczyźni. Nigdy nie wpadał w szal z rozkoszy, nie wydawał na pół zwierzęcych dźwięków z dzungli pierwotnego animalizmu człowieka. Czy to ten spokój wzbudził jej zaufanie? Alan nie kłamał. O tym, co czuł i myślał, mógł jej zawsze powiedzieć. Już prawie spała, kiedy na myśl o zwierzeniu,

o wyjawieniu mu prawdy z ciemności wyłonił się wyraźny obraz Alana, który szlochał, szlochał rozpaczliwie tak jak po śmierci swojego ojca. Obraz ten sprawił, że zbudziła się przerażona, pełna współczucia, i znowu myślała: Muszę być zawsze czujna, żeby strzec jego szczęścia, zawsze czujna, żeby strzec swego anioła stróża.

W ciemnościach przeżyła od początku do końca osiem dni spędzonych w Provincetown.

Poszła na wydmy w poszukiwaniu domu O'Neila i zabłądziła. Piaszczyste wydmy były w słońcu tak białe, tak dziewicze, że czuła się niby pierwszy człowiek na szczycie lodowca.

Morze biło o brzeg, jak gdyby usiłowało z powrotem zagarnąć piasek w głębiny, za każdym razem unosząc z sobą pewną jego ilość tylko po to, żeby w porze przypływu ułożyć go znowu w kształt geologicznych linii, statyczne morze skryształizowanych piaszczystych fal.

Zatrzymała się tam i zdjęła kostium kąpielowy, żeby położyć się w słońcu. Drobinę piasku unoszone przez wiatr powlekały jej ciało niby muślinem. Sabina zastanawiała się, czy piasek nakryłby ją, gdyby została tu dość długo, czy pochłonąłby ją grób utworzony przez naturę. Bezruch zawsze nasuwał jej ten obraz, obraz śmierci, i to właśnie kazało jej wstawać i szukać ruchu. Spoczynek przypominał jej śmierć.

Ale tutaj, w tej chwili ciepła i światła, gdy twarz miała zwróconą ku niebu, a morze podchodziło i cofało się gwałtownie od stóp, obraz śmierci jej nie przerażał. Leżała nieruchomo, patrząc, jak wiatr formuje z piasku desenie, i czuła się chwilowo wolna od niepokoju i podniecenia. Szczęście określono niegdyś jako przeciwnieństwo gorączki. Cóż więc posiadała teraz, kiedy gorączka ustąpiła?



Była wdzięczna, że jej nerwy, zahipnotyzowane uspokajającą potęgą słońca i nieuleczalnym niepokojem morza, nie skręcają się w niej i nie napinają, aby zburzyć ten moment wytchnienia.

I właśnie w tej chwili usłyszała pieśń. Nie była to zwykła piosenka, którą mógłby śpiewać każdy idący plażą. Był to potężny wyszkolony głos, pełen mocy i powagi, przywykły do wielkich sal i licznych audytorium. Ani piasek, ani wiatr, ani morze, ani przestrzeń nie mogły tego głosu osłabić. Rozlegał się pewnie, na przekór im wszystkim, w witalnym hymnie siły równej żywiołom.

Postać zbliżającego się mężczyzny godna była jego głosu, tworzyła doskonałą oprawę tego instrumentu. Nadchodzący miał mocną szyję, dużą głowę o wysokim czole, szerokie ramiona i długie nogi. Idealna obudowa strun głosowych, z dobrym rezonansem, myślała Sabina, która nie poruszyła się, w nadziei, że mężczyzna nie zauważy jej i przejdzie obok, nie przerywając pieśni z *Tristana i Izoldy*.

Brzmienie pieśni sprawiło, że Sabina znalazła się w Szwarzwaldzie z niemieckich baśni, które czytała tak chciwie w dzieciństwie. Drzewa, zamki, jeźdźcy, wszystko nadnaturalnej wielkości w oczach dziecka.

Pieśń wznosiła się, potężniała, skupiała cały szum morza, połyskujący złotem karnawał słońca, dorównywała wiatrowi i wypuściła w przestrzeń najwyższe tony niby pomost olśniewającej tęczy. I naraz czar prysł.

Mężczyzna zobaczył Sabinę.

Zawahał się.

Milczenie jej było tak wymowne jak jego pieśń, bezruch Sabiny tak znaczący i pełen treści, jakim był przed chwilą jego głos. (Później powiedział jej: Gdybyś się wtedy odezwała, odszedłbym. Potrafisz sprawić, że wszystko zaczyna mówić za ciebie. Podszedłem właśnie dlatego, że milczałaś).

Pozwoliła mu snuć dalej marzenia.

Patrzyła, jak mężczyzna lekko, bez trudu wchodzi na piaszczystą wydnię, jak się uśmiecha. Przed chwilą widziała morze niby miliony brylantowych oczu, a teraz tylko dwoje bardziej niebieskich, bardziej zimnych zbliżyło się do niej. Gdyby morze, piasek i słońce stworzyły człowieka, żeby ucieleścić radość południa, powstałby człowiek taki jak ten.

Stał przed nią, zasłaniając słońce, wciąż uśmiechnięty, kiedy się ubierała. Milczenie dalej przekazywało między nimi sygnały.

— Pieśń o *Tristanie i Izoldzie* brzmiała tu pięknie, niż w operze — powiedziała Sabina. Wkładała kostium kąpielowy i naszyjnik spokojnie, tak jakby skończył się właśnie występ głosu mężczyzny i jej ciała.

Usiadł obok niej.

— Jest tylko jedno miejsce, gdzie brzmi ona lepiej. Tam Szwarzwald, gdzie się ta pieśń narodziła.

Sabina po akcencie poznała, że mężczyzna stamtąd pochodzi i że jego podobieństwo do Wagnerowskiego bohatera to nie przypadek.

— Śpiewałem ją tam bardzo często. W lesie jest echo i miałem wrażenie, że pieśń przenika do ukrytych źródeł, które ją przechowują i z których wytrysnie znowu długo po mojej śmierci.

Sabinie zdawało się, że słyszy echo jego pieśni, słuchając opisu miejsca, gdzie żyły wspomnienia, gdzie sama przeszłość stanowiła bezmierne echo utrwalające doznania; gdy tutaj wszystko dążyło do tego, aby za wszelką cenę wyzbywać się wspomnień, aby żyć tylko chwilą bieżącą, jak gdyby pamięć była jedynie ciężarem i zawadą. To miał na myśli nieznajomy i Sabina go rozumiała.

Naraz ogarnął ją znowu przypływ niepokoju.

— Przejdźmy się — powiedziała niecierpliwie.

— Pić mi się chce — rzekł mężczyzna. — Wróćmy tam, gdzie siedziałem. Zostawiłem torbę pomarańczy.

Opuścili piaszczyste wydmy, ześlizgując się z nich, jak gdyby to były ośnieżone wzgórza, a oni jechali na nartach. Poszli po mokrym piasku.

— Widziałam kiedyś plażę, na której przy każdym kroku tryskały spod stopy fosforyzujące iskry.

— Jakby dziobały ją piaszkowe dzięcioły — powiedział niezręcznie śpiewak.

Sabinie spodobało się jego skojarzenie i roześmiała się.

— Przyjechałem tu odpocząć przed początkiem sezonu.

Jedli pomarańcze, pływali i znów spacerowali. Dopiero o zmierzchu położyli się na piasku.

Sądziła, że on uczyni jakiś gwałtowny gest, pasujący do jego dużej postaci, mocnych ramion, muskularnej szyi.

Skierował wzrok prosto na nią, jego oczy, teraz lodo-wato błękitne, były bezosobowe, zdawały się patrzeć poprzez nią na wszystkie kobiety stopione w jedną, która jednak w każdej chwili może roztopić się znów we wszystkie inne. Było to spojrzenie, po którym Sabina poznawała donżuana zawsze i wszędzie, spojrzeniu temu nie ufała. Alchemia pożądania sprawiała, że przez chwilę Sabina była wcieleniem wszystkich kobiet, ale równie łatwo, w następnym procesie, mogła rozłożyć Sabinę na wiele innych.

Tożsamość Sabiny „niepowtarzalnej”, kochanej przez Alana, została zagrożona. Nieufność wobec spojrzenia mężczyzny sprawiła, że krew zastygła jej w żyłach.

Wpatrywała się w jego twarz, usiłując dociec, czy mężczyzna domyśla się jej niepokoju, czy wie, że jej lęk rośnie z każdą chwilą, że ją niemal paraliżuje.

Ale zamiast gwałtownego gestu mężczyzna ujął w swoje smukłe dłonie czubki jej palców, jakby zapraszał do beztroskiego walca, i powiedział:

— Masz zimne dłonie.

Pieścił jej rękę coraz wyżej, całując zagłębienie łokcia, ramiona.

— Masz takie gorące ciało. Czy nie za długo byłeś na słońcu?

Żeby go uspokoić, powiedziała nieopatrznie:

— Trema.

Roześmiał się na to drwiąco, z niedowierzaniem, jak się tego obawiała. (Tylko jeden mężczyzna wierzył w jej lęk i w tej chwili Sabina najchętniej uciekłaby do Alana, uciekłaby od tego drwiącego obcego człowieka, którego usiłowała zwieść swoim opanowaniem, swoim mistrzowskim milczeniem, swoimi wiele obiecującymi spojrzeniami. Za trudno było prowadzić dalej tę grę, musiała przegrać. Była już napięta i przerażona. Nie wiedziała, jak odzyskać prestiż w jego oczach, gdy się już przyznała do słabości, której obcy nie potraktował poważnie, która nie harmonizowała z jej prowokującym zachowaniem. Ten drwiący śmiech miała raz jeszcze usłyszeć, kiedy śpiewak zaprosił ją później na spotkanie ze swoim najbliższym przyjacielem, towarzyszem przygód, bratem donżuanem, równie uprzejmym, pełnym uroku i pewności siebie, jak on sam. Traktowali ją wesoło jak kogoś z ich gatunku, jak poszukiwaczkę przygód, łowczynię, kobietę cyniczną i to ją głęboko dotknęło!)

Kiedy mężczyzna spostrzegł, że Sabina nie śmieje się razem z nim, spoważniał, leżąc obok niej, ale ona wciąż jeszcze czuła urazę, a serce jej nie przestawało bić mocno ze zdenerwowania.

— Muszę wracać — powiedziała, wstając i zdecydowanym ruchem strzepując piasek.

Mężczyzna od razu podniósł się z galanterią, zdradzając nawyk ulegania kaprysom kobiet. Wstał i ubrał się, zarzucił na ramię skórzaną torbę i szedł obok Sabiny ironicznie ugrzeczniiony, bezosobowy, obojętny.



— Czy miałaby pani ochotę spotkać się ze mną na kolacji w „Smoku”?

— Na kolacji nie, ale później. Koło dziesiątej albo jedenastej.

Znowu uklonił się ironicznie i szedł obok, patrząc spokojnie przed siebie. Jego nonszalancja złościła Sabinę. Znać było po nim absolutną pewność, że zawsze w końcu osiąga to, czego pragnie. Sabinę drażniła ta pewność siebie, której mu zazdrościła.

Kiedy doszli do miejskiej plaży, wszyscy się tam za nimi oglądali. Jasnowłose przybysz ze Szwarzwaldu, myślała Sabina, rycerz z baśni czarodziejskiej. Szedł oddychając głęboko, z wypiętą szeroką pierśią, wyprostowany i sprężysty, a do tego z wesołym uśmiechem, który sprawiał, że czuła się radośnie i lekko. Była dumna, że idzie u jego boku, jak gdyby niosła trofeum. Schlebiali to jej kobiecej próżności, zamiłowaniu do podbojów. Ten butny marsz dawał jej złudzenie siły i władzy — oczarowała, zdobyła takiego mężczyznę. Rosła we własnych oczach, chociaż wiedziała, że to uczucie niewiele się różni od upojenia mocnym trunkiem i że zniknie jak ekstaza alkoholowa, pozostawiając ją następnego dnia jeszcze bardziej roztrzęsioną, w istocie jeszcze słabszą, zgnębioną, opustoszałą wewnątrz.

To jej wewnątrz trawione stała niepewnością, tę strukturę zawsze bliską załamania, którą tak łatwo było zmiażdżyć ostrym słowem, lekceważącym potraktowaniem, krytyką, prześladowały wizje katastrofy, te same obsesyjne przeczucia, które Sabina słyszała w walcu Ravela.

Walc prowadzący do katastrofy — wirujący po lśniących posadzkach w otchłań, mieniące się, powiewne spódnice, szyderczy niby-taniec, którego minorowe dźwięki symulują beztroskę, przypominają zawsze, iż przeznaczeniem człowieka rządzi ostateczny mrok.

Ta wewnętrzna istota Sabiny była chwilowo sztucznie podbudowana dzięki zadośćuczynieniu jej próżności, kiedy ten naprawdę piękny mężczyzna szedł przy niej i każdy, kto go widział, zazdrościł kobiecie, która go urzekła.

Przy pożegnaniu schylił się po europejsku nad jej dłoń z ironicznym szacunkiem, ale w głosie jego zabrzmiały ciepłe tony, kiedy powtórzył:

— Przyjdziesz?

Nie wzruszyła jej ani jego uroda, ani doskonałość, ani nonszalancja, ale właśnie ta lekka niepewność. Ponieważ miał przez chwilę wątpliwości, poczuła w nim istotę ludzką, trochę jej bliższą przez utratę zwycięskiej, niewzruszonej buty.

— Przyjaciele czekają na mnie — powiedziała Sabina.

Na to powolny, ale jakże olśniewający uśmiech rozjaśnił mu twarz. Mężczyzna stanął na baczność i zaskłutował.

— Zmiana warty przed pałacem Buckingham!

Z jego ironicznego tonu poznała, że śpiewak nie sądzi, aby miała się spotkać z przyjaciółmi, ale raczej z innym mężczyzną, z innym adoratorem.

Nie wierzył, że chce wrócić do swojego pokoju, żeby zmyć z włosów piasek, posmarować oliwą spieczoną skórę, nałożyć świeżą warstwę lakieru na paznokcie; leżąc w wannie, chciała przeżyć na nowo każdą chwilę ich spotkania, zgodnie ze swym zwyczajem pragnąc rozkoszować się smakiem upajających wrażeń nie raz, ale dwa razy.

Dziewczynę, z którą dzieliła pokój, mogła uprzedzić zdawkowo, że dziś wieczór wychodzi, ale właśnie na tę noc została u nich trzecia kobieta, znajoma nie tylko Sabiny, ale i Alana, sprawa by się więc skomplikowała.

Sabina wiedziała, że znów będzie musiała kraść ekstazę, wydierać nocy rozkosze. Poczekala, aż obie jej to-

warzyski zasnęły, i cicho wyszła, ale nie skierowała się na ulicę Główną, miejsce spacerów wszystkich jej znajomych, artystów, którzy mogli zaproponować, żeby się do nich przyłączyła. Przeszła przez metalową barierę nabrzeża i zsunęła się po drewnianym słupie, kalecząc dłonie i zahaczając suknią o muszlę. Zeskoczyła na płaski żę. Szła mokrym piaskiem w stronę najjaśniej oświetlonego nabrzeża, gdzie „Smok” oferował swoje płonące neonami ciało spragnionym badaczom nocy.

Nikt z jej znajomych nie ośmieliłby się pójść tam, gdzie nawet fortepian zrzucił skromne okrycie i do ogólnego ruchu dodawał taniec obnażonego mechanizmu, przy czym królestwo pianisty rozszerzyło granice, obejmując nie tylko abstrakcyjne dźwięki, lecz także regularny balet figur szachowych, ułożonych płasko na rozedrganych strunach.

Żeby wejść do nocnego lokalu, musiała wspinać się po żelaznych szczeblach osadzonych na lśniących pałach, o które zaczepiały się jej włosy i suknia. Dotarła na miejsce zdyszana, jak gdyby dała nurka i wypłynęła teraz na powierzchnię, uwolniwszy się z matni wodorostów. Ale nie zauważył jej nikt poza Filipem, punktowka skierowana była na pieśniarza śpiewającego zmysłowy blues.

Rumieniec radości widać było wyraźnie na twarzy Sabiny mimo opalenizny. Filip przysunął jej krzesło i nachylił się, żeby szepnąć:

— Bałem się, że nie przyjdiesz. Kiedy przechodziłem o dziesiątej obok twojego domu, nie widziałem nigdzie światła, podszedłem więc do okna i zapukałem, dość lekko, bo słabo widzę w nocy, a mogłem się pomylić. Nikt nie odpowiedział. Potykałem się w ciemnościach, czekałem...

Zdjęta strachem, że Filip mógł obudzić jej współmieszkanki, wobec groźby wkrycia, które ją cudem

ominało, Sabina uczuła rosnące podniecenie, wrzenie krwi wywołane niebezpieczeństwem. Uroda mężczyzny w nocy nabrała cech narkotyku, myśl o tym, jak szukał jej oslepiony mrokiem, wzruszyła i rozbroiła Sabinę. Oczy jej pociemniały, otoczyły je czarne obwódki niedoczekania u kobiet Wschodu. Powieki miały niebieskawy odcień, a nie regulowane brwi rzucały cień, który sprawiał, że ciemne błyski oczu zdawały się tryskać z głębszej toni niż za dnia.

Chłonęła wzrokiem jego rzeźbione rysy, kontrast pomiędzy silną głową a smukłymi, nieowłosionymi rękami, pokrytymi najdelikatniejszym meshem. Nie tylko głaskał jej ramię, ale zdawało się, że z maestrią wirtuoza przyciska ukryte nerwy-struny dobrze znanego instrumentu.

— Twoje ramię jest równie piękne jak twoje ciało. Gdybym nie znał twojego ciała, pragnąłbym go, widząc tylko kształt twojego ramienia — mówił.

Pożądanie utworzyło wulkaniczną wyspę, na której leżał w transie, czując pod sobą podziemne wiry, parkiet, szalik, magnetyczny blues — wszystko unoszone prądem pożądania, lawiny dreszczy przeszywających ciało. Pod gładką skórą, pod runią włosów osłoniętych ubraniem, przez wzgórza i doliny mięśni płynął potok wulkanicznej lawy, płomienne pożądanie, a tam, gdzie płonęło, dźwięki śpiewanego bluesa zamieniały się w ostry krzyk puszczy, ptasi i zwierzęcy nieokiełzany krzyk rozkoszy, i krzyk zagrożenia, i krzyk przerażenia, i krzyk położnicy, i krzyk ranego, chrapliwy dźwięk dobywający się wciąż z tych samych wciągających głębi natury.

Drżące przeczucia ogarniające ręce, ciało sprawiły, że taniec stał się nie do zniesienia, czekanie nie do zniesienia, palenie i rozmowa nie do zniesienia, wkrótce miał nastąpić nieposkromiony atak erotycznego kanibalizmu, radosna epilepsja.



Uciekli sprzed oczu świata, od proroczych, natrętnych, zmysłowych prologów pieśniarza. W dół po zarzewiałych szczeblach drabin w podziemia nocy sprzyjającej pierwszemu mężczyźnie i pierwszej kobiecie na początku świata, kiedy nie było słów, którymi się można nawzajem posiąść, ani muzyki, żeby śpiewać serenady, ani darów, żeby zabiegać o względy, ani turniejów, żeby zachwycać i zdobywać przychyłność, żadnych sposobów pośrednich, ozdób, naszyjników, koron do zdobycia, lecz tylko jeden rytuał, upojne, upojne, upojne wbijanie kobiety na męski gorący pal.

Sabina otworzyła oczy, żeby przekonać się, że leży na dnie zagłówek, leży na płaszczu Filipa chroniącym ją rycecko przed piaskiem, przeciekającą wodą i małżami. Filip leży obok niej, tylko że głowa jego jest wyżej, a nogi sięgają dalej. Filip śpi ukontentowany, oddychając głęboko. Sabina siada w świetle księżyca, zła, niespokojna, z uczuciem porażki. Gorączka osiągnęła swój szczyt i opadła, oddzielając się od pożądania, pozostawiając je nie spełnione, jałowe. Wysoka gorączka i żadnego rozładowania – złość, złość – na to coś twardego w jej wnętrzu, co nie daje się stopić, podczas gdy Sabina pragnie być jak mężczyzna, wolna, aby pożądać i posiadać, niezależnie od kaprysu doznawać rozkoszy z kimś obcym. Ciało Sabiny nie ulegnie, nie spełni jej marzenia o wolności. Okpiło ją z przygody, do której dążyła. Gorączka, nadzieja, miraż, rozbudzone pożądanie będą jej towarzyszyć, nie spełnione przez całą noc i nadchodzący dzień, płonąc niegasnącym blaskiem, sprawiając, że kto ją zobaczy, powie: „Co za temperament!”

Filip obudził się i uśmiechnął z wdzięcznością. Dał, wziął i był kontent.

Sabina leżała, myśląc, że nie zobaczy go już więcej, i rozpaczliwie pragnęła znów się z nim spotkać. On zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie, o tym, jak bardzo lubi śnieg. Przepada za jazdą na nartach. Nagle, ni stąd, ni zowąd, jakaś myśl zakłóciła idylliczne wspomnienia.

– Kobiety nigdy nie dają mi spokoju – powiedział.